

# ANIOŁ ŚMIERCI

LEWA REKA BOGA II



PAUL HOFFMAN

# Prolog

Wyobraźcie sobie. Młody zabójca, prawie chłopiec, ukrywa się w zielono-czarnym sitowiu, porastającym gęsto brzegi rzek Vallombrosy. Czeka już bardzo długo, lecz on potrafi być cierpliwy, a to, na co czeka, jest dlań cenniejsze niż życie. Obok niego leży cisowy łuk i strzały z grotami z czarnej stali, które z odpowiedniej odległości przebiją najtwardszy pancerz. Co nie znaczy, że będą dzisiaj potrzebne, albowiem tym razem młody człowiek nie wypatruje łotra, który prosił się o śmierć, lecz ptaka wodnego. Światło gęstnieje i łabędzica szybuje nad lasem, gdzie stada rozgoryczonych gawronów narzekają na niesprawiedliwość świata, który obdarzył ją taką urodą. Osiada na wodzie zdecydowanym i subtelnym ruchem mistrza malarskiego muskającego płótno czubkiem pędzla, a potem płynie z gracją, z której słynie jej gatunek. Nie spotyka się takiej elegancji w nieruchomym, zadymionym powietrzu, na takiej szarej, mętnej wodzie.

Nagle powietrze, które pobłogosławiła łabędzica, przesywa strzała ostra niczym nienawiść i mija ją o kilka łokci. Ptak zrywa się do lotu, silne pletwy i eleganckie skrzydła bezpiecznie unoszą jego biel w powietrze. Młody człowiek stoi i obserwuje jego ucieczkę.

— Następnym razem cię dopadnę, ty zdradziecka zdziro! — woła.

Ciska łuk na ziemię, to jedyna śmiercionośna broń (obok noża, miecza, łokcia, zębów), którą nigdy nie nauczył się posługiwać, a zarazem jedyna, która może pomścić złamane serce. Jednak nawet gdyby władał nią mistrzowsko, nie ma nadziei na pocieszenie. Albowiem we śnie nie umie trafić w drzwi stodoły z odległości dwudziestu kroków. Budzi się i przez pół godziny leży, rozmyślając. Prawdziwe życie dba o wrażliwość straceńców, lecz nawet największy bicz boży, a Thomas Cale bez wątpienia nim jest, może się stać obiektem bezkarnych drwin w świecie swych sennych koszmarów. Potem znów zasypia, aby śnić o jesiennych liściach unoszących się na wodzie potoków Vallombrosy i ogromnych białych skrzydłach wprawiających w wir poranne, mgliste powietrze.

# I

*Pieśń o Thomasie Cale’u, Aniele Śmierci* jest drugim najgorszym wierszem, jaki wyszedł z Biura Krzewienia Wiary Powieszzonego Odkupiciela. Instytucja ta do tego stopnia zasłynęła z rozpowszechniania rażących kłamstw na temat odkupicieli, że powiedzenie „łgać jak mnich” wejdzie w powszechne użycie.

## **Księga Czterdziesta Siódma: Argumentacja**

*Zbudźcie się! Albowiem świt w objęciach nocy  
Objawi Lewą Rękę Pana Mocy.  
Nazywa się Cale, jest mądry i silny,  
To Anioł Śmierci, zawsze nieomylny.  
Tropiąc zdrajców, co nastawali na papieża życie,  
Po linie przez mur opuścił Sanktuarium skrycie.  
By chronić Ojca Świętego, sfingował swą ucieczkę,  
Z zacisznego Sanktuarium zabrał tylko świeczkę.  
I Bosca, swego mentora, udał, że odtrąca,  
By bronić papieża do samego końca.  
W Memphis, mieście grzechu, Sodomie bez sumienia*

*Ocalił księżniczkę o sercu z kamienia.  
Która żądzą zgubić jego duszę chciała.  
A gdy odrzekł: „Nie!”, zabójców na niego nasłala.  
Długo jej ojciec spiskował przeciw papieżowi,  
Aż w końcu wydał wojnę Powieszonemu Odkupicielowi.  
Lecz na Wzgórzu Silbury ujrzał kres swej potęgi,  
Z princepsem i Boskiem Cale sprawił im cięgi.  
I klęskę Imperium przypieczętowali.  
Tymczasem Bosco i Cale do boju znów pognali,  
By rozgromić antagonistów heretyków morze.  
Za papieża i Odkupiciela módlmy się w pokorze!*

Jest powszechnie akceptowaną prawdą, że rzeczywiste wydarzenia przechodzą do historii zniekształcone przez uprzedzenia osób, które je spisują. Z czasem historia zamienia się w legendę, fakty ulegają zatarciu pomimo najlepszych chęci, a niekiedy i wbrew interesom narratorów, których pojawia się wielu, różnorodnych i nawzajem sobie przeczących. Wreszcie po tysiącach lat wszelkie dobre i złe intencje, wszelkie kłamstwa i szczegóły stopią się w jeden mit, w którym wszystko stanie się równie prawdopodobne, wszystko może być prawdą lub zmyśleniem. I nie ma to już najmniejszego znaczenia. Jednak niektóre fakty giną z historii niemal natychmiast i zamieniają się w gęstą mgłę mitu, jeszcze zanim zajdzie słońce. Powyższe rymowanki powstały niecałe dwa miesiące po wypadkach, które tak nieudolnie próbowały uwiecznić. Przeanalizujmy więc te brednie wers po wersie.

Thomasa Cale'a przywieziono do ponurego Sanktuarium Odkupicieli na Skarpie Shotover w wieku dwóch lub trzech lat (nikt dokładnie nie wiedział i nikogo to nie obchodziło). Od pierwszego dnia zwrócił na niego uwagę jeden z kapłanów tej

złowrogiej religii, Lord Wojownik Bosco, trzykrotnie wspomniany w wierszu głównie z tego prostego powodu, że to on zlecił jego napisanie. Błędem byłoby jednak wyciągać z tego faktu pochopny wniosek, że kierowały nim tak przyziemne intencje jak próżność czy ambicja.

Swoją złą sławę odkupiciele zawdzięczali nie tylko skrajnie surowym poglądom na grzeszność natury ludzkiej, lecz przede wszystkim fanatycznej gorliwości, z jaką usiłowali je narzucać innym drogą militarnych podbojów, dokonywanych przez ich własną armię zakonników, z których większość od dzieciństwa szkolono i przygotowywano bardziej do walki niż posług kapłańskich. Najinteligentniejsi i najpobożniejsi z nich (różnica między tymi dwiema kategoriami nigdzie tak łatwo nie ulegała zatarciu jak właśnie wśród odkupicieli) zajmowali się krzewieniem właściwej wiary i narzucaniem odpowiednich poglądów w podbitych i nawróconych krajach. Resztę trzymano jako rezerwę zbrojnego skrzydła Jedynej Prawdziwej Wiary. Wychowowali się i często umierali (jeśli mieli szczęście, jak głosił żart) w licznych koszarach zakonnych, z których największym było Sanktuarium. To właśnie tam Bosco wybrał sobie Cale'a na osobistego akolitę — formę uprzywilejowania, którą mogło przeżyć tylko nieludzko odporne dziecko. Kiedy Cale osiągnął wiek czternastu (lub piętnastu) lat, był już tak zimny i wyrachowany, że nie chcielibyście go spotkać ani w ciemnej uliczce, ani nigdzie indziej. Zdawało się, że odczuwał tylko dwie rzeczy: skrajną nienawiść do Bosca oraz obojętność wobec wszystkich innych istot. Pechowy los Cale'a miał się obrócić na gorsze, kiedy pewnego dnia, otworzywszy niewłaściwe drzwi w niewłaściwym momencie, ujrzał Lorda Dyscyplinariusza Picarba krojącego żywcem młodą dziewczynę, podczas gdy druga czekała, aż spotka ją ten sam los. Przedkładając głos instynktu

samozachowawczego nad oburzenie i współczucie, Cale po cichu zamknął drzwi i wyszedł. Jednak w przystępie szaleństwa, którego, jak twierdził, będzie żałował do końca życia, nie mogąc odegnąć z pamięci wyrazu oczu dziewczyny czekającej na okrutne wypatroszenie, zawrócił i zabił człowieka stojącego w hierarchii kościelnej na dziesiątym miejscu po papieżu. To, co usłyszeliście do tej pory na temat odkupicieli, nie pozwoli wam wątpić, że los Cale'a został tym samym przesądzony i byłby to bardzo bolesny los.

Gdyby ucieczka z Sanktuarium przedstawiała proste wyzwanie, Cale'a dawno by już tam nie było. I choć, jak głoszą brednie zawarte w *Pieśni o Thomasie Cale'u*, odbyła się ona rzeczywiście po linie, to nie miała nic wspólnego z rzekomym spiskiem na życie papieża. Historię o zamachu wymyślił Bosco, aby zatuszować ucieczkę akolity, którego z własnych powodów chciał za wszelką cenę sprowadzić z powrotem. Powody te nie miały nic wspólnego z dziwacznymi i odrażającymi sprawkami Picarba. Wiersz nie wspomina natomiast, że Cale'owi towarzyszyły trzy inne osoby: dziewczyna, którą uratował, Mętny Henri — jedyny chłopiec w Sanktuarium, którego Cale jako tako tolerował, oraz Kleist, traktujący go z niechęcią i podejrzliwością, podobnie jak wszyscy inni akolici.

O ile inteligencja Cale'a, wyćwiczona przez lata szkolenia, kazała mu unikać odkupicieli, to nieodstępujący go pech wpakował całą czwórkę uciekinierów prosto w ręce kawalerii Materazzich z Memphis, miasta bogatszego i barwniejszego niż wszystkie Paryże, Babilony czy Sodomy świata. Jest to kolejny daleki pogłos prawdy, zawarty w *Pieśni*. W Memphis czwórka towarzyszy zwróciła na siebie uwagę wielkiego kanczera Viponda oraz jego brata przyrodniego, nieodpowiedzialnego awanturnika, Idryspukkego. Ten ostatni z przyczyn dla

nikogo niepojętych, nawet dla siebie, poczuł do Cale'a słabość i okazał mu coś, czego chłopiec nigdy przedtem nie doświadczył — odrobinę dobroci.

Trzeba by jednak czegoś więcej niż szczypta przyzwoitości, aby obłaskawić Cale'a, który swoją podejrzliwością, arogancją i wrogim nastawieniem budził nienawiść w każdej osobie, jaką napotykał na swojej drodze, począwszy od złotego młodzieńca arystokratycznego klanu Materazzich, Conna, a skończywszy na olśniewającej Arbell Materazzi, znanej jako Arbell Łabędzioszyja (nie przez przypadek mordercze skłonności Cale'a przejawione we śnie rozpoczynającym naszą opowieść przybrały za swój obiekt łabędzia), córce władcy imperium Materazzich, tak wielkiego, że słońce nigdy nad nim nie zachodziło. Bosco jednak dużo zainwestował w pełną nienawiści postawę Cale'a i nie zamierzał pozwolić, by jego podopieczny trwoniał ją w niewłaściwy sposób, zwłaszcza w miejscu, gdzie aż się prosił o śmierć. Nie może nikogo dziwić, że choć Arbell Łabędzioszyja nie kryła swej niechęci do Cale'a, niedoświadczony młodzieniec nie mógł się po prostu nie zakochać w tak wyniosłej piękności. Tymczasem ona nie przedstawiała go traktować jak zwykłego zbója, nawet kiedy uratował jej życie w akcie brutalnej i bezlitosnej przemocy (zbagatelizowanej potem przez jego wrogów jako pretensjonalne awanturnictwo). Zrozumieli wszyscy, zwłaszcza IdrysPukke, który na własne oczy widział tę bezwzględną i krwawą akcję ratunkową, czemu Kleist narzekał na Cale'a, że gdziekolwiek się obróci, tam tylko patrzeć pogrzebu. Niemniej to, co egzotyczne i niesamowite, może stworzyć mieszankę bardzo uderzającą do głowy młodej niewieście, skąd bierze źródło aluzja do kuscielskich zabiegów Arbell, wspomniana w *Pieśni*. Żadnego kuszenia jednak nie było, jeśli kuszenie zakłada przełamywanie oporu



osoby uwodzonej, a słowo „nie” ani razu nie zagościło na jego wargach. Nie opłaciła też z pewnością zabójcy, co zresztą byłoby całkiem zbyteczne — jak żartował Kleist, gdy w końcu przeczytał poemat — zważywszy na to, ilu ludzi chętnie zrobiliby to za darmo.

Równie nieprawdziwe jest twierdzenie, jakoby ojciec Arbella Łabędzioszyjki nosił się z zamiarami zaatakowania odkupicieli. Jego rzekomą napaść wymyślił Bosco jako pretekst dla swych zwierzchników, aby wszcząć wojnę, której jedynym prawdziwym celem było sprowadzenie Cale’a z powrotem do Sanktuarium. Zgodnie z zasadą niezamierzonych konsekwencji armia Bosca pod dowództwem odkupiciela princepsa, zdziesiątkowana przez chorobę, została otoczona przez dziesięciokrotnie liczniejsze wojska Materazzich pod Wzgórzem Silbury. Bitwę ze zgrozą obserwował ze wzgórza Cale (który z powodów zbyt skomplikowanych, by je tu przytaczać, ułożył plan ataku dla obydwu armii) i ze zgrozą patrzył, jak w wyniku niesprzyjającego splotu okoliczności, zamieszania, warunków pogodowych, ludzkiej głupoty oraz nieumiejętności panowania nad tłumem pewne zwycięstwo Materazzich obróciło się w najbardziej spektakularną klęskę w historii wojen.

Ku swemu niemałemu zdumieniu Bosco zdobył Memphis oraz najcenniejsze łupy, jakie mógł zaoferować świat, poza jedynym, na którym mu zależało — Thomasem Cale’em. Jednakże przebiegły Lord Wojownik od dawna trzymał rękę na pulsie najobrzydliwszego procederu w Memphis, prowadzonego przez podłą kreaturę, kombinatora i stręczyciela, Kicię Zajacę. Kicia wiedział, że żałośnie niedoświadczony w sprawach sercowych Cale stracił głowę dla pięknej Arbella, swoimi sposobami odkrył też, że jej wielka namiętność do niezwykłego i niebezpiecznego młodzieńca — niezwykły owoc, jak żartował Kicia,

dla tego cieplarnianego kwiatu — zaczyna się wypalać. Tę sprzyjającą dla siebie okoliczność wykorzystał Bosco, którego ludzie trzymali Arbella w pałacowym areszcie domowym. Wkroczywszy do Memphis, zaprzął do pracy swoją rzadką znajomość ludzkiej natury i bardzo przekonująco zagroził jej zniszczeniem całego miasta, jeśli nie wyda kochanka. Zapewnił ją zarazem gorliwie i — jak się okazało całkiem szczerze — że nie ma najmniejszego zamiaru go skrzywdzić. Tak więc Arbella zdradziła Cale'a — jeśli można to uznać za zdradę — trudno jednak orzec, na ile zadziałało tu wyrachowanie. Cale wypertraktował uwolnienie Mętnego Henriego oraz Kleista i skapitulował ostatecznie, kiedy się dowiedział, że kobieta, którą kochał nad życie, wydała go w ręce jego największego wroga, człowieka, którego nienawdził najbardziej na świecie.

Tym sposobem dochodzimy do ostatniego kłamliwego wersu *Pieśni o Thomasie Cale'u*, gdy nasz bohater zmierza przez pustkowia z podwójną nienawiścią, jątrzącą mu serce — do swojej byłej ukochanej oraz swego dawnego prześladowcy, który opowiedział mu takie rzeczy, że do tej pory kręciło mu się w głowie. Kazał mu przestać się nad sobą rozczulać, ponieważ, jak twierdził, nie jest w ogóle osobą ani kimś, kogo można kochać lub zdradzić, tylko, jak zapewnia nas *Pieśń*, Aniołem Śmierci. I nadszedł czas, aby w końcu zajął się swoimi boskimi sprawami.

Od tej pory wszystko, co usłyszycie, jest prawdą.

★ ★ ★

Istnieje wiele wyższych wzniesień niż Góra Tygrysia, wiele bardziej niebezpiecznych, których niebezpieczne urwiska i przełazające rozpadliny przejmują grozą każdą żywą duszę, żadne z nich jednak nie dorównuje jej wyniosłością, żadne nie potrafi

wzbudzić takiego uniesienia, takiego zachwytu swym samotnym splendorem. Stożkowata sylwetka Góry Tygryskiej wyrasta z Równiny Tamskiej, rozciągającej się płasko prawie we wszystkich kierunkach, tak że z odległości stu staj jej majestatyczna symetria sprawia wrażenie wzniesionej ludzką ręką. Jednak nigdy po ziemi nie stąpał człowiek, żaden opętany megalomanią Echnaton czy Ramzes, zdolny zbudować tak monumentalny szczyt. Z bliska odsłania się cała jego nieludzka potęga, po tysiakkroć większa od wielkiej piramidy Lincolna. Nietrudno zrozumieć, czemu tak wiele religii uważało ją za jedyne miejsce na ziemi, skąd Bóg przemawia do ludzkości. To na szczycie Góry Tygryskiej Mojżesz otrzymał kamienne tablice, na których spisano sześćset trzysta trzydzieści przykazań. To tutaj Jefte Gileadczyk w zamian za zwycięstwo nad Ammonitami z wielkim bólem serca, co należy zaznaczyć, poderżnął na ołtarzu gardło swej jedynej córce, ponieważ przyrzekł Panu złożyć w ofierze pierwszą żywą istotę, która wyjdzie mu na spotkanie, gdy powróci do domu. Szła chętnie i aż do ostatniej chwili nieszczęśliwy Jefte liczył na miłosierne ułaskawienie — głos boży, posłańca anielskiego, dowód litości, że była to tylko próba jego wiary. Wrócił jednak z Góry Tygryskiej samotnie. Tutaj też, na Wielkim Występie, pod granicą wiecznego śniegu na żądanie Pana diabeł pokazał Powieszonemu Odkupicielowi cały świat i zaoferował mu nad nim władzę.

Z kolei plemię Hucułów, w życiu których niewiele było miejsca na religię i którzy sprawowali kontrolę nad tym terytorium przez osiemdziesiąt kilka lat, nazywało górę Wielkim Jądrem. Właśnie od dłuższej chwili Cale, Bosco, a także trzydziestu strażników, którzy im towarzyszyli, zastanawiali się nad przyczyną tej osobliwej nazwy.

Gdybyśmy powiedzieli, że Cale był w podłym humorze,

odsłoniłibyśmy zaledwie czubek góry lodowej. W żadnym języku nie wypowiedziano dotąd słowa, które mogłoby opisać burzę szalejącą w jego sercu, jego nienawiść do Sanktuarium, dokąd miał powrócić, gorycz i gniew spowodowane zdradą Arbell Materazzi, znanej powszechnie jako Łabędzioszyja, o której urodzie i gracji nic więcej mówić nie trzeba — nic o kształtnych długich nogach, szczupłej talii, krągłych piersiach (te piersi nie były dumne, były wręcz nieprzyzwoicie aroganckie). Arbell była łabędziem w ludzkiej postaci. W wyobraźni Cale w nieskończoność łamał jej piękny kark, potem w cudowny sposób przywracał ją do życia i mordował na nowo — tym razem skrzył go jednym szybkim ruchem, potem będzie powoli dusił, by w dalszej kolejności zapewne wydrzeć jej z piersi serce i wrzucić do ognia. Nie omieszka też rozsypać popiołów, ostrożności nigdy za wiele.

W ciągu dwóch tygodni od opuszczenia Memphis nie odezwał się ani słowem, nawet po to, by zapytać, czemu zmienili kierunek w środku Strupich Wzgórz i oddalają się od Sanktuarium. Bosco uznał, że lepiej go zostawić w spokoju, aby się dusił we własnym sosie. Nie docenił jednak zdolności Cale'a do trwania w niemym gniewie i w końcu postanowił przerwać milczenie.

— Jedziemy na Górę Tygrysią — oznajmił łagodnie, prawie życzliwie. — Chcę ci coś pokazać.

Moglibyście pomyśleć, że człowiek, którego serce przepelnia nienawiść do jednej osoby, nie znajdzie w sobie dość negatywnych emocji, by czuć to samo i z równą intensywnością do kogoś innego. Być może po części jest to prawdą, lecz jeśli chodzi o nienawiść, serce Cale'a było pojemne i niezłomne. Niechęć do Bosca została jedynie odsunięta nieco na bok od płonącego ognia, aby zagrzebana w popiele nie ostygła i mogła

w stosownym momencie rozgorzeć na nowo. Chociaż jednak uwagę Cale'a pochłaniały prawie bez reszty absorbujące mordercze myśli, nie mogła go nie zdziwić radykalna zmiana, jaka zaszła w zachowaniu jego dawnego opiekuna. Od kiedy sięgał pamięcią, Bosco był dla niego jak morze dla statku podczas szalejącego sztormu — nieubłagany, bezlitosny, okrutny, niepoahamowany, nigdy nie łagodniejąc i nie dając mu chwili wytchnienia. Rok po roku każdego dnia bił go bez opanowania i litości, uczył i karał, karał i uczył, aż Cale przestał już odróżniać jedno od drugiego. Teraz wykazywał wielką powściągliwość, delikatność, prawie czułość. Dlaczego? Na to pytanie Cale nie mógłby znaleźć odpowiedzi, nawet gdyby udało mu się wykrzesać z siebie dość siły, kiedy już popełnił w myślach kolejne morderstwo na Arbell Łabędzioszyjej (zatkłkł ją kijem na śmierć, połamał kołem, utopił w górskim stawie przy wtórze radosnych owacji). Jednak pomimo kakofonii młotów dudniących mu w duszy część jego świadomości uważnie obserwowała okolicę, którą jechali, i nagle zrozumiał, jednak bez cienia wesołości — na to myśli Cale'a krążyły po zbyt mrocznych krainach — czemu nazywają to miejsce Wielkim Jądrem. Z bliska znikła gładkość konturów i powierzchni, widziana z odległości pięćdziesięciu staj, a zbocze zamieniło się w teren poryty głębokimi żlebami i fałdami biegnącymi w dół jak woda, która je wyźłobiła, lecz również na boki i w poprzek, a nawet zakrętami, zataczając zamknięte pętle w miejscach, gdzie skała była najtwardsza. Patrząc z bliska na stok, podróżny nie mógł się pozbyć wrażenia, że zamienił się w maleńką pchłę spacerującą po jajach niewyobrażalnego olbrzyma.

Lawirowanie przez ten niepojęty labirynt byłoby wyjątkowo trudne, mimo że zbocze nie należało do stromych, gdyby nie

wąska droga przypominająca groblę, zbudowana przez Huculów i biegnąca wzdłuż grzbietów nad niezliczonymi wypełnionymi wodą jarami i wąwozami. Zbudowano ją nie po to, by sprofanować święte miejsce odkupicielei, lecz aby ułatwić dostęp do pokładów soli, które utkały marmurowe pajęczyny w środkowych partiach zbocza. W ciągu osiemdziesięciu lat swego panowania na tym terenie Huculi wydrążyli w górze wielką sieć tuneli. Bez względu na to, czy profanacja była zamierzona, czy nie, kiedy zakon powrócił do sił po okresie długich i wyczerpujących wojen religijnych, odplacił Hucułom za zbezczeszczenie ich świętości i stał plemię z powierzchni ziemi aż do ostatniego dziecka.

Minąwszy Wielkie Jądro, wjechali na bardziej stromy odcinek zbocza. Chociaż bowiem Góra Tygrysia była wysoka, to wspinaczka po niej nie należała do trudnych. Na tej gładziej powierzchni między piętnastym a pięćdziesiątym łokciem wysokości tu i ówdzie widniały niewielkie jamy — wejścia do pokładów soli. Mimo parszywego humoru i zaciętego milczenia Cale przyglądał się z zaciekawieniem intrygującym szczegółom świętego krajobrazu. Chociaż nie napotykali zdradliwych szczelin ani niebezpiecznych grani, wędrówka stała się bardziej uciążliwa, aż wreszcie musieli zsiąść z koni i dalej prowadzić zwierzęta za uzdy trudniejszymi, nierównymi ścieżkami. Wkrótce dotarli do wąskiej przełęczy, biegnącej pomiędzy stromymi skałami wznoszącymi się po obu stronach niemal pionowo.

Chociaż niedawno minęło dopiero południe, Bosco kazał swoim ludziom rozbić obóz. Potem odwrócił się do Cale'a.

— Zostaną tutaj. My pójdziemy dalej. Chcę ci coś pokazać, ale najpierw musimy sobie również coś wyjaśnić. Jedyne drógę z tej góry wiedzie przez tę przełęcz. Jeśli wrócisz do obozu sam, wiesz, co się stanie.

Z tym łagodnym ostrzeżeniem na ustach ruszył dalej w głąb przełęczy. Cale podążył za nim. Szli pod górę mniej więcej pół godziny, chłopiec trzymał się dziesięć kroków w tyle, dopóki nie znaleźli się na półce skalnej szerokiej na kilka kroków. Na jednym końcu stał prosty, lecz pięknie wykonany kamienny ołtarz.

— W tym miejscu Jefte dotrzymał przysięgi złożonej Panu i zabił w ofierze swą jedyną córkę.

Powiedział to dziwnym tonem, bez śladu nabożnego szacunku.

— A ta plama z boku to pewnie ma być jej krew — odparł Cale. — Musiała mieć w żyłach nie byle jaką miksturę, skoro przetrwała kilka tysięcy lat.

— Bóg jest Wszechmogący. — Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. — Nikt nie wie, gdzie ją zabił. Ten ołtarz zbudowano dla wiernych, niektórym wolno tu przychodzić w Czarny Piątek. Malarz przychodzi dzień później i maluje ją na nowo, aby farba miała czas wytrzeć się i spłowieć przez następny rok.

— A więc to kłamstwo.

— A czym jest prawda? — zapytał, lecz nie czekał na odpowiedź.

Dwie godziny później znaleźli się na wysokości trzystu łokci pod granicą wiecznego śniegu. Został im ostatni etap wspinaczki do miejsca, gdzie mogli rozmawiać z samym Bogiem. Bosco jednak skreślił i zaczął obchodzić górę dookoła, równoległe do linii śniegu. W rozrzedzonym powietrzu wędrówka przysparzała więcej trudności, mimo że nie wspinali się już pod górę. Cale'a rozboleła głowa. Idąc wąską ścieżką, na chwilę stracił Bosca z oczu, a kiedy go znów zobaczył, o mały włos nie zepchnął go w przepaść. Odkupiciel stał i wpatrywał się uważnie w płaski

głaz wystający ze skały i podparty na jednym końcu niczym most rozpoczęty i porzucony w trakcie budowy.

— To jest Wielki Występ, gdzie szatan kusił Powieszzonego Odkupiciela, ofiarowując mu panowanie nad światem. — Odwrócił się i spojrzał na Cale'a. — Chcę, abyś tam ze mną wszedł — powiedział, wskazując palcem koniec występu.

— Ty pierwszy.

Bosco się uśmiechnął.

— Ja również składam życie w twoje ręce.

— Niezupełnie, skoro na dole czeka trzydziestu strażników z mściwymi myślami krążącymi po głowach.

— Sądzisz, że zadałbym sobie tyle trudu tylko po to, żeby cię tu strącić ze skały?

— Nie obchodzi mnie, po co to wszystko robisz ani co myślisz.

Kiedyś Bosco stłukłby Cale'a na kwaśne jabłko za taki sposób odżywiania się. A Cale by nie protestował. Zdał sobie sprawę, jak wielka zmiana zaszła w nich obu w ciągu kilku minionych miesięcy.

— A jeśli nie zechcę?

— Nie mogę cię zmusić i nie będę próbował.

— Ale każesz mnie zabić.

— Nie. Jednak bez względu na to, jak bardzo mnie nienawidzisz, co zresztą sprawia mi ogromną przykrość, musiałeś już zrozumieć, że my dwaj jesteśmy ze sobą złączeni nierozzerwalnymi więzami. Zdaje się, że tak powiedziałeś Arbell Materazzi, kiedy opuszczaliśmy Memphis.

Być może Bosco zdawał sobie sprawę, jak mało brakowało, aby skończył ze skreconym karkiem. Jeśli tak, to nic po sobie nie pokazał. Lecz był w nim jakiś niepokój, niepojęty dla



Cale'a, niepokój człowieka, który z całego serca pragnie, by mu uwierzono, by go zrozumiano, i lęka się, że tak się nie stanie.

— Poza tym — dodał odkupiciel — chcę ci powiedzieć coś o twoich rodzicach.

To rzekłszy, wszedł na granitową skałę Wielkiego Występu. Cale patrzył za nim osłupiały, zaszokowany tym, co usłyszał i co zostało powiedziane właśnie w tym celu, aby nim wstrząsnąć. Niełatwo wyobrazić sobie uczucia chłopca, dla którego pojęcia matki i ojca były równie abstrakcyjne jak morze dla mieszkańców terenów śródlądowych. Co może poczuć szczur lądowy, kiedy ktoś mu powie, że za następnym wzgórzem rozpościera się ocean? Cale wszedł na występ dużo ostrożniej niż Bosco. Nie bał się wysokości, ale też za nią nie przepadał, czuł się słabszy, stojąc na krawędzi przepaści. Kiedy zbliżył się do Bosca, odkupiciel odsunął się na bok tak swobodnie, jakby chodził po polu treningowym Sanktuarium. Skinął na chłopca, aby stanął obok niego kilka cali od urwiska.

Cale rozejrzał się dookoła i poczuł, jakby zawisł w samym środku nieba. Serce mu waliło, zdumionym wzrokiem ogarniał rozległy błękit nad głową, a pod nim wielką połąć żółtej ziemi, wznoszącej się na jego spotkanie w migoczącej fioletowej mgle. Miał wrażenie, jakby rozpościerał się przed nim cały świat. Stał porażony ogromem przestrzeni, a Bosco przyglądał mu się w milczeniu. W końcu po kilku minutach Cale spojrział na niego.

— No więc...?

— Jeśli chodzi o twoich rodziców, to doszły mnie pogłoski... — Urwał. — Zaczęły krążyć wkrótce po tym, jak zabiłeś Salomona Salomona.

— Zasłużył sobie na to, czego nie można powiedzieć o ludziach, z którymi kazałeś mi walczyć.

Ze wszystkich niemiłych wspomnień, jakie ich łączyły, to było najgorsze. Bosco wbił sobie do głowy, że talent Cale'a do zabijania jest darem bożym i nie przyszło mu na myśl, że dla dwunastoletniego chłopca, choćby najlepiej wyszkolonego i bezwzględного, walka na śmierć i życie z sześcioma doświadczonymi żołnierzami może być traumatycznym przeżyciem.

— Miałem duszę na ramieniu za każdym razem, kiedy zdawało mi się, że grozi ci niebezpieczeństwo.

To wcale nie było kłamstwo. Z początku ten krwawy dowód morderczych umiejętności chłopca wprowadził go w stan euforii. Taka perfekcja mogła być tylko skutkiem boskiego natchnienia. Jednak po szóstym zabitym przeciwniku Bosco zaczął się obawiać, że Bogu nie spodoba się jego nieumiarkowanie i ukarze go za pychę, dopuszczając, by Cale'a spotkał zły przypadek. Kiedy to sobie uprzytomnił, przestraszył się nie na żarty i kazał przerwać jatkę.

Cale nie zrzucił swego dawnego nauczyciela ze skały chyba tylko dlatego, że kompletnie osłupiał. Człowiek, który go bił pod byle pretekstem, jaki mogły mu podszeptać zła wola i okrucieństwo, a prawie drugie tyle bez żadnego powodu, utrzymywał, że zależało mu na jego dobru, a w dodatku mówił to tonem zdolnym skruszyć najtwardsze serce. Jednak serce Cale'a było na to o wiele za twarde. Jeśli darował Boscowi życie, to wyłącznie dlatego, że ciekawość przemogła w nim nienawiść. Poza tym nie zapominał, że na dole czeka na niego trzydziestu parszywych drani.

— Opowiedz mi o tych pogłoskach.

— Kiedy go zabiłeś, ludzie w mieście zaczęli gadać, że odkupiciele zabrali cię jako małe dziecko od rodziny blisko spokrewnionej z dożą Memphis, że jesteś Materazzim i to nie pierwszym lepszym.